

1920.

Spojrzenie w niedaleką przyszłość

Lukian [John A. Hobson]

(Fragmety tekstu publikowanego w odcinkach
pod pseudonimem Lukian
w „The Nation” w 1917 roku.
Prawdziwym autorem był John A. Hobson).

Ustawa o służbie wojskowej osób starszych

Wyszedłszy z hotelu Morley's, od razu zwróciłem uwagę na długą procesję czarno ubranych osób zmierzających ku Parliament Street. Procesję prowadziła postać, którą wnet rozpoznałem: był to biskup Silchester, starzec, który udzielił mi święceń kapłańskich sześć lat temu. Za nim, w luźnym szyku czwórkami, ciągnął się jakby bez końca pochód siwowłosych mężczyzn i kobiet ze wszystkich klas społecznych; niektórzy maszerowali i spoglądali z dumą, inni szli przygarbieni, smutni i stłamszeni, jakby zmuszono ich do czegoś, czego nie chcieli uczynić, lecz nie mieli możliwości odmówić. Wśród ludzi na czele pochodu rozpoznałem, ku swojemu zaskoczeniu, dwie osoby, które znałem z prasy ilustrowanej jako członków obalonego niedawno Rządu. Kiedy przypatrywałem się procesji, minął mnie nie kto inny jak Priestley, którego nie widziałem od zakończenia studiów na Oksfordzie, lecz który rozpoznał mnie od razu i pozdrowił, jak zawsze w dobrym humorze. Po krótkiej wymianie zdań na tematy osobiste zapytałem go, dokąd zmierza ta żalobna procesja.

– No co ty, mój drogi! – wykrzyknął. – Naprawdę nie wiesz? Dziś, jak zawsze co drugi tydzień, odbędzie się nabożeństwo ofiarne w Opactwie.

– Nabożeństwo ofiarne – powtórzyłem. – Co masz na myśli?
 – Ależ to niemożliwe – odpowiedział. – Nic o tym nie słyszałeś? No więc dziś jest dzień Ofiary Najwyższej, a ta ceremonia to pochód ofiar.
 – Ofiary! – wykrzyknąłem i nagle uderzyła mnie okropna myśl o czymś, co przeczytałem kiedyś u jakiegoś teoretyka psychologii, mianowicie, że pod wpływem silnego wstrząsu emocjonalnego możliwe jest zbiorowe cofnięcie się do atawistycznych obyczajów. Czyżby powrót do druidyzmu?
 Priestley zrozumiał w końcu, że nic nie wiem o wydarzeniach ostatnich miesięcy, i zaczął mi wszystko tłumaczyć.

[...]

„Oszczędzajcie żywność, ratujcie wojnę!” – głosiło powszechne hasło, a gazety lorda Northcliffe’a, wraz z „Morning Post” i „John Bull”, wkrótce umieściły w siodle grupę „młodszych mężów stanu”, którzy mieli zadbać o gospodarkę żywnościową. Było tylko jedno rozwiązanie. Porzucono gadanie o zaoraniu parków albo pracy przymusowej na działkach, by skupić się na jedynym skutecznym, drastycznym programie redystrybucji kurczących się zasobów żywności i przeznaczeniu ich wyłącznie na potrzeby naszych sił zbrojnych i osób wykonujących niezbędną pracę na rzecz gospodarki narodowej.

Przez chwilę się wydawało, że srogie żądania Komisji Żywnościowej zagrożą nawet życiu dzieci, nie mówiąc o osobach starszych. Cała dostępna żywność powinna być przeznaczona wyłącznie dla tych, którzy pomagają wygrać wojnę. Dzieci uratowano jednak, kiedy krytycy przedstawili nieodparty argument, że wojna może potrwać dłużej, a po wojnie konieczna będzie powszechna służba wojskowa. Zagłodzenie dzieci teraz byłoby złą polityką z punktu widzenia gospodarki wojennej, ponieważ dzieci będą potrzebne później, na mięso armatnie.

– I w ten sposób – tłumaczył Priestley – wkrótce zrozumiano, że jeśli mamy radykalnie zmniejszyć zapotrzebowanie na żywność, trzeba poświęcić ludzi starych. Fakty są takie, że ludzie starzy nie są nawet warci jedzenia, które dostają.
 – Ale przecież – przerwałem mu – musiało pojawić się współczucie i poszanowanie dla starszych, jakiś narodowy protest przeciw tej okropnej decyzji?

[...]

– Cóż, chętnie opowiem, jaka masa kłopotów wynikała z tego pomysłu, głównie z powodu wprowadzenia zapisu o zwolnieniu ze służby. Pewnego dnia, późno wieczorem, pod koniec posiedzenia parlamentu, z cicha pęk zarządzono głosowanie w Izbie Lordów, a tam, jak wiesz, regularnie uczestniczy w obradach więcej starsuszków niż w Izbie Gmin. Podrzucili do tekstu ustawy zapis o zwolnieniu ze Służby z powodu przekonań religijnych, a Rząd, aby nie marnować czasu, lekkomyślnie pozwolił na przegłosowanie tej poprawki. Oczywiście można było przewidzieć, jakie będą skutki. Lord H., zręczny prawnik, od razu wykorzystał tę pomyłkę i pomógł zorganizować tak zwaną Ligę Przeciw Krematoriom, zreszającą tych, których przekonania nie pozwalały, by umrzeć inaczej niż śmiercią naturalną. Chcieli nawet uzyskać w Trybunale Konstytucyjnym orzeczenie, że jeśli

osoba starsza powoła się na przekonania i zażąda zwolnienia, to na funkcjonariuszu Urzędu Ofiary Najwyższej będzie spoczywał ciężar udowodnienia braku przekonania. Ten pomysł oczywiście udało się od razu odrzucić. Więcej trudności sprawił powszechnie szanowany biegły w wieku poborowym, który poparł twierdzenie, jakoby odmowa Ofiary Najwyższej mogła wynikać z wiary w doktrynę niezbywalnego prawa do pełnej długości naturalnego życia, tak jak je zdefiniował Apostoł Miecznikow. Na szczęście Młodzi Mężowie Stanu, korzystając z tajnych zaleceń dla Trybunału, szybko pozbyli się tej nonsensownej inicjatywy i powszechnie przyjęto interpretację, zgodnie z którą żadna osoba starsza nie ma przekonania, w rozumieniu zgodnym z przepisami Ustawy, chyba że wykonuje pewne ściśle określone formy pracy na rzecz gospodarki narodowej lub może udowodnić zdolność do ich wykonywania, zgodnie z normą albo powyżej normy wyznaczonej dla zdrowych osób w średnim wieku. Niestety wkrótce się okazało, że stosowne przepisy mają liczne luki umożliwiające ucieczkę od Służby, więc podczas burzliwych tygodni Marca, kiedy występowały coraz większe braki w dostawach żywności, w gazetach Prasy Patriotycznej pojawiły się nagłówki, będące wyrazem gniewu, o „gniazdach dekonników”. Okazało się, że podstarzali kombinatorzy z odpowiednimi „dojściami” wymigują się od Ofiary Najwyższej, zasiadając w przeróżnych komisjach i wtrącając się w cudze sprawy – tak miała wyglądać ich praca na rzecz gospodarki narodowej. Udowodniono w przekonujący sposób, że w trudnych czasach, kiedy wymagany jest pośpiech i wysiłek, nikt po 65. roku życia nie nadaje się do spełniania obowiązków biskupa, sędziego albo profesora oraz że jego praca albo nie jest nikomu potrzebna, albo może zostać wykonana przez dwóch lub trzech młodszych ludzi, znacznie bardziej kompetentnych i chętnych do zajęcia odpowiedzialnego stanowiska.

Działania odwetowe w roku 1920

[...]

Priestley, który się zorientował, że rozmowa wykracza poza jego horyzonty umysłowe, pokierował nią ku tematami bardziej praktycznym, nawiązując do niedawnego sporu o politykę wojny powietrznej. Okazuje się, że strategia bombardowań przeszła proces długotrwałej ewolucji, mającej na celu osiągnięcie „zysku netto”. Początkowo plany wojny powietrznej skupiały się zwykle na wielkich centrach przemysłu, zarówno u nas, jak i w Niemczech. Lancashire i West Riding oraz nowe miasta produkujące amunicję zostały niemal w całości zniszczone, zanim ukryto pod ziemią ludność i fabryki. Wielkie dzielnice biedoty w Londynie wciąż stanowiły doskonały plac ćwiczeń dla słabo wyszkolonej i poszukującej łatwego celu niemieckiej floty powietrznej, natomiast obszary West Endu, jak się wkrótce okazało, prawie zawsze pozostawały nietknięte. Niektórzy przypisywali ten fakt istnieniu doskonałych schronów podziemnych, które już opisywałem. Inni twierdzili jednak, że unikanie centrum „systemu nerwowego” administracji było wynikiem przemyślanej decyzji politycznej, co sugerowały przechwycone rozkazy niemieckie. Militaryści niemieccy wciąż chcieli wygrać wojnę. Tak czy owak ta względna nietykliwość była niezaprzeczalnym faktem. Z biegiem czasu obie strony stopniowo zmieniały jednak strategię. Coraz mniej skupiano się na celach materialowych, a więcej uwagi zwracano na wybór celów żywych. Niewątpliwie była to przede

wszystkim kwestia osiągnięcia jak najwyższej liczby zabitych, głównie przez rozsiewanie zarazków za pomocą materiałów wybuchowych. Teraz jednak, kiedy osoby starsze i chore po obu stronach zostały usunięte po racjonalizacji gospodarki żywnościowej, wszystkie segmenty pozostałej przy życiu populacji można legalnie uznać za siłę żywą przeciwnika. Ale nie wszystkie segmenty miały tę samą wartość. Wszystko zależało od przewidywanego czasu trwania wojny. Krótki horyzont czasowy wymagał oczywiście rażenia przede wszystkim aktywnej populacji dorosłych. Natomiast ci, którzy patrzyli perspektywicznie, argumentowali, że prawdziwy sens ekonomiczny zabijania Niemców po jednej stronie lub Brytyjczyków po drugiej ma skupienie się na młodszym pokoleniu. Lecz nawet wśród członków tej tak zwanej partii dzieciobójców trwał spór, który zaowocował serią niezwykle zjadliwych wypowiedzi na łamach Prasy Patriotycznej. Ci, którzy zakładali w swoich obliczeniach, że wojna potrwa jeszcze pięć lub nawet dziesięć lat, nalegali, by podczas zabijania priorytetowo traktować chłopców, którzy mieli wkrótce zostać pilotami bombowców, natomiast inni, zakładający dłuższy czas trwania wojny, sugerowali, by skupić wysiłki na przyszłych matkach wrogiej rasy. Tę frakcję nazywano „feministami”. Łatwo się domyślić, jak skomplikowane były argumenty używane podczas tej debaty.

Laboratorium prawdy wojennej

[...]

– No, ale – przerwałem mu – co ma wspólnego wojna z pragmatyzmem?

– Ależ wszystko – odparł. – Oczywiście pamiętam, że nie studiowałeś filozofii, ale musisz mieć ogólne pojęcie, czym jest pragmatyzm.

– Oczywiście – odpowiedziałem. – Z tego, co wiem, wy, pragmatycy, uważacie, że świat rzeczywistego doświadczenia to jakby galareta, na której każdy człowiek wyciska swoje własne znaczenia i zamierzenia, oraz że prawda każdego twierdzenia zależy od tego, czy ono „działa”.

– Dokładnie – wtrącił się mój rozmówca – zrozumiałeś najważniejszą część tej idei. Prawda to to, co działa. Ale działa w jakim celu? Jedyнным słabym punktem przedwojennego pragmatyzmu był brak odpowiedzi na to pytanie. Nagle przyszło olśnienie, kiedy wojna, ten najintensywniej realizowany przez ludzi cel, przyniosła tak potrzebną odpowiedź. Prawda jest tym, co pomaga wygrać wojnę.

[...]

– Cóż, domyślam się, że zaangażowali cię do tej pracy, choć muszę powiedzieć, że ten projekt na pierwszy rzut oka wydaje się bardzo niemiecki. Zostałeś dyrektorem swego rodzaju Wahrheits-Fabrik, jak wnoszę z napisu na tabliczce na drzwiach: „Laboratorium Psychologiczne do Produkcji Prawdy Wojennej”. Muszę przyznać, że ta cała koncepcja prawdy wojennej jest trochę niepokojąca dla takiego staromodnego dziadziugi jak ja.

– Dajże spokój – ciepłym tonem odrzekł Paston. – Wszyscy żyjemy na chlebie wojennym, więc czemu nie na prawdzie wojennej? Jeśli pomyślisz, zrozumiesz, że analogia jest prawdziwa, a nawet konieczna. Jak to pięknie powiedział Emerson, „prawa w niebie to siostry praw na ziemi”. To właśnie ta filozoficzna harmonia uzasadnia wszystkie nasze duchowe

procesy wojenne. Lepiej to zrozumiesz, kiedy dokładnie wyjaśnię działanie służb, w których jestem tylko jednym z dowódców.

– Świetnie, wytłumacz – odparłem. – To wszystko jest dla mnie nowe i chciałbym zrozumieć.

[...]

– Cóż – tłumaczył dalej – to prosta idea: prawda jest surowcem, nieskończenie elastycznym i dającym się dostosować do potrzeb Państwa. Zrozum to, a ujawni się pełen potencjał naszego Laboratorium Psychologicznego. Zaczynamy od znanego rozróżnienia: co prawdziwe dla mnie, nieprawdziwe dla ciebie. Ta idea relatywności i adaptacyjności wiedzy zostaje następnie poddana generalizacji i zastosowana w naszym laboratorium, by z tego samego surowca produkować osobne prawdy dla konsumenta w kraju, dla Sprzymierzeńców, dla państw neutralnych oraz dla wroga. Surowy fakt jest ten sam dla wszystkich; wszystko zależy od obróbki. Byłbyś zaskoczony, gdybyś wiedział, jak szybko staje się to rutyną laboratoryjną. Tutaj mamy „materiał”, a tam umysł odbiorcy, na którym musimy zrobić dane wrażenie wojny. Po analizie dotyczącej odbiorcy wystarczy tylko przygotować i zastosować odpowiednią Domieszkę.

– Domieszkę! – zawołałem. – Naprawdę chcesz powiedzieć, że celowo fabrykujecie fakty?

– Wcale nie – odrzekł. – Nie doceniasz naszej wyrafinowanej sztuki. Naszym obowiązkiem jest przygotowywanie wiadomości tak, żeby się nadawały dla różnych adresatów, oraz kształtowanie takich nastrojów i opinii, jakie są najlepsze dla danego odbiorcy. Potem, kiedy ekspert-tester uzna, że trafiliśmy w dziesiątkę, pompujemy wiadomości w agencje prasowe i inne maszyny publikujące.

[...]

– Ale ja zarezerwowałem dla siebie najdelikatniejsze i najciekawsze zadanie.

– A jakież to zadanie?

– Produkcja Mitów, to jasne! Aha, zapomniałem, fala zainteresowania Sorelem i ideą Syndykalizmu nadeszła już po twoim wyjeździe. Zatem, krótko mówiąc, Mit jest najpotężniejszym ze wszystkich wymysłów, misterny wizerunek wielkiego duchowego osiągnięcia, który zarazi wszystkich entuzjazmem i zachęci do największego wysiłku.

– Aha – odparłem – czyli coś wielkiego i fałszywego, żeby poprawić nastroje.

– No, niedokładnie – odparł Paston. – Mit nie może być nigdy nieprawdą, gdyż, rozumiesz, on „działa”. W samej rzeczy, Mit jest prawdziwy najbardziej.

– Aha, a jaki Mit akurat ty wymyśliłeś?

– To miraż światowej demokracji powstającej błyskawicznie z przesiąkniętych krwią pól bitewnych. Za każdym razem, kiedy obraz się nieco rozmywa, co się zdarza od czasu do czasu w trakcie trwania wojny, idę do jednego z wielkich twórców frazesów wśród naszych mężów stanu i proszę, żeby dodał kilka nowych, jasnych pociągnięć pędzla, a czasem pomoże mu w tym energiczny dziennikarz. W taki czy inny sposób na razie udaje się nam utrzymać ten świetny stary Mit w bardzo dobrym stanie. Nie masz pojęcia, jak wiele ducha bojowego można z niego jeszcze wycisnąć. Kiedy czasem sytuacja robi się bardzo ciężka, biorę się do pracy osobiście i dodaję jakieś nowe złudzenia do składu tego Mitu.

D.O.R.A.¹

– Choć trudno w to uwierzyć, na początku Dory wcale nie lubiano. Ludzie naprawdę narzekali, że przeszkadza im ona żyć, mimo że działa przecież tylko dla ich dobra. Mawiali, że im się nie podoba, kiedy się czyta ich prywatne listy i obliżuje koperty, kiedy słucha ich rozmów przez telefon; mawiali również, że nie wolno wsadzać ludzi do więzienia, nie wyjaśnwszy, za co.

– Ale przecież ona na pewno tego nie czyniła! – zauważyłem.

– Oczywiście, że nic takiego nie czyniła. To jest wolny kraj i kiedy komuś stawia się zarzuty o popełnienie przestępstwa, to ma prawo stanąć przed swoimi rodakami w sądzie, gdzie zostanie przeprowadzony zgodny z prawem proces. Oczywiście z tego wynika, że kiedy komuś nie stawia się zarzutów, to nie ma również prawa do takiego procesu.

– To dlaczego narzekali, skoro Dora nic takiego nie robiła?

– No, bo rozumiesz, to jest tak. Po kraju pętało się kilku kłopotliwych ludzi, którzy według Dory nie powinni być na wolności. Niektórzy byli podejrzani o zamiar jakichś skalkulowanych działań przeciw dyscyplinie wojennej, inni wypowiadali się bez szacunku o Rządzie albo nawet mówili złośliwości o Dorze i jej „wyczynach”. Jeszcze inni byli winni czegoś, co nazywa się „wrogimi działaniami”.

– A cóż to dokładnie ma znaczyć? – przerwałem.

– No właśnie, nie rozumiesz? – odparł Roxburgh. – Wielka użyteczność tego określenia wynika z faktu, że ono nic konkretnie nie znaczy. To jest naprawdę jedno z mistrzowskich dokonań Dory w dziedzinie półlegalnej lingwistyki. Chodzi o to, że to pojęcie może dotyczyć wszystkiego – od posiadania słownika języka niemieckiego po spisak mający na celu dostarczenie Niemcom zawartości arsenału w Woolwich. A najlepsze jest to, że ponieważ nie są to działania niezgodne z prawem, to nie można postawić zarzutów przed sądem, nie trzeba przedstawiać dowodów, niepotrzebny jest proces ani przesłuchania świadków przez obronę, a przede wszystkim nikt się nie musi o tym dowiedzieć.

– A z tego wynika, jak mniemam, że nie ma też kary!

– Pewnie, że nie – odpowiedział. – Osoby, które prawdopodobnie są podejrzane, można „deportować” z domu i trzymać w „odosobnieniu”, lecz nigdy się ich nie więzi.

– A gdzie się je trzyma?

– Cóż, zwykle w budynkach, w których przebywają też osoby skazane przez sąd, lecz w naszym przypadku budynki te określamy jako „miejsca odosobnienia”.

– Ale czy to naprawdę ważne, jak się je określa? – wtrąciłem.

– Jak możesz tak mówić? – zawołał Roxburgh. – Oczywiście, że to bardzo ważne. To by było niegodne narodu takiego jak nasz, by splamić nasze wspaniałe tradycje wolności i sprawiedliwości, wtrącając ludzi do więzienia bez sądu.

¹ Skrót od Defence of the Realm Act, ustawy z 1914 roku, która ograniczała prawa obywatelskie na czas wojny. Wprowadzono cenzurę prasy i listów, rekwizycje wojskowe oraz umożliwiono władzy wykonawczej swobodne wprowadzanie przepisów, za których naruszenie ścigano jak za złamanie prawa. Dziś to zwykła rzecz, wtedy nie. Przepisy były wprowadzane ad hoc: zakazano między innymi palenia ognisk, puszczenia latawców, zakupu lornetek, karmienia zwierząt chlebem oraz nieprawomyślnych wypowiedzi i publikacji na dowolne tematy wojenne. Za naruszenie przepisów karano więzieniem, kilka osób skazano na śmierć i stracono [przyp. tłumacza].

[...]

– Muszę powiedzieć, że jednym z najbardziej wartościowych zwycięstw w tej wojnie o wolność było wyzwolenie narodu z sieci prawnych i konstytucyjnych kruczków, które groziły jego zaduszeniem. Wolny naród potrzebuje wolnego Rządu, czyli Rządu, który ma wolność wprowadzania i odwoływania swoich praw i konstytucji tak, jak akurat trzeba.

Poddaństwo wojenne

Odprowadziłem właśnie przyjaciół na pociąg z dworca Euston, kiedy moją uwagę przykuł batalion mężczyzn ustawionych w szeregu na sąsiednim peronie, z którego mieli odjechać. Oczywiście widok żołnierzy wsiadających do pociągu już od dawna nie był niczym nowym, lecz w wyglądzie tego oddziału było coś dziwnego, co wzbudziło moją ciekawość. Mieli na sobie szare mundury, nie nosili broni ani nie zachowywali się jak poddani musztrze żołnierze. Wyraźnie jednak obowiązywała ich dyscyplina i czuwało nad nimi kilku uzbrojonych żołnierzy, a elegancko umundurowany oficer, który najwyraźniej tu dowodził, wydawał ostatnie rozkazy. Kiedy podszedłem do niego, rozpoznałem starego znajomego ze szkoły, Hicksona, który wygrywał we wszystkich konkursach matematycznych, lecz podczas studiów w Cambridge zmienił kierunek na ekonomię, gdzie zdobył wielkie uznanie za swoją umiejętność zastosowania rachunku różniczkowego w obronie kapitalizmu. Zawsze, gdy się spotykaliśmy, na przykład podczas wakacji, kłóciliśmy się o kwestię robotniczą, gdyż ja od dawna byłem trochę socjalistą. Na zakończenie takiej kłótni Hickson uciekał w tak rozrzedzone obszary abstrakcji, że nie potrafiłem dotrzymać mu kroku.

Kiedy podszedłem do niego i zacząłem rozmowę, Hickson wyjaśnił, że jest teraz Inspektorem Oddziałów Robotniczych, a mężczyźni czekający na pociąg to poborowi w drodze do Crewe, które było centrum dystrybucji na region północno-zachodni.

– A co się z nimi stanie, kiedy dotrą do Crewe? – zapytałem.

– O, wtedy pójdą na kolejne badanie lekarskie, zostaną pogrupowani i przydzieleni do brygad wysyłanych do różnych centrów produkcji amunicji, górnictwa oraz produkcji lokalnej. Wysyłamy ich tam, skąd przyszły meldunki o zapotrzebowaniu na siłę roboczą.

– Ale – przerwałem – czy oni nie mają nic do powiedzenia o tym, dokąd trafią i co będą robić?

– A czemu mieliby o tym decydować? – odpowiedział Hickson. – Skąd mogliby wiedzieć, gdzie są najbardziej potrzebni i gdzie ich praca będzie najbardziej wydajna? Żeby to wiedzieć, trzeba dokładnie studiować rosnące i opadające krzywe popytu w różnych miejscach i gałęziach gospodarki. Trzeba też precyzyjnie dobrać współczynniki priorytetyzacji. To niełatwa praca, ale bardzo ciekawa.

– Cóż, Hickson – odpowiedziałem – to ostatnia rzecz, jakiej bym po tobie oczekiwał, tak zejsz z wyżyn teorii na poziom zwykłego bruku.

– E tam! – odparł. – Wcale nie zszedłem na niższy poziom. Wprost przeciwnie, to, co nazywasz brukiem, trafiło teraz na wyżyny teorii!

– Nie bardzo cię rozumiem.

– Ależ to zupełnie proste. Jak zapewne sobie przypominasz, swego czasu szkoła matematyczna powzięła energiczne starania o przejęcie kontroli nad ekonomią.

- Tak, nad teorią ekonomii – odpowiedziałem – ale...
- Zaczekaj – przerwał mi Hickson. – nie tak prędko. Wojna sprawiła, że w nasze ręce trafiła również praktyka gospodarcza, gdyż wojna zmusiła gospodarkę do podporządkowania się naszym abstrakcyjnym wzorom matematycznym. Wojna dała nam to, co konieczne, by praktycznie udowodnić naszą „marginalną” teorię wartości, czyli zaczęła nam dostarczać płynnej siły roboczej.
- A co to dokładnie znaczy?
- No więc – wyjaśnił tamten – zapewne miałeś do czynienia z interesami, żeby znać termin „płynny kapitał”.
- Ależ tak, oczywiście – odpowiedziałem. – To jest kapitał, którego jeszcze nie przeznaczono do żadnego celu albo nie zmaterializowano w żadnym konkretnym budynku czy materiale. Jest trzymany w gotowości, by popłynąć dowolnym kanałem, który może go przyjąć i gdzie będzie przynosić zyski.
- Dokładnie tak – zgodził się Hickson. – Problem w tym, że w przeszłości siła robocza nie była dostatecznie płynna.
- Masz na myśli fakt, że osobiste preferencje i pragnienia robotników, podobnie jak ich przywiązanie do miejsca, zmniejszały płynność siły roboczej?
- Dokładnie. Siła robocza była materiałem trudnym do zarządzania. Po pierwsze, robotnik nalegał, żeby mu dać wolną rękę, by mógł sam decydować, jaką będzie wykonywał pracę. Po drugie, związki zawodowe tworzyły sztuczne bariery, które miały negatywny wpływ na ilość, jakość oraz na metody pracy i jej wynagrodzenie. Potrzebne było, jak się łatwo domyśleć, usunięcie tej indywidualnej i zbiorowej woli z rynku pracy oraz zastąpienie jej jedną wolą Państwa motywowanego wymaganiami sytuacji wojennej. Już niedługo po wybuchu wojny widoczna była potrzeba, by robotnik oddał się w służbę Państwu na takich samych warunkach jak żołnierz. Niestety kilku ministrów popełniło błąd i publicznie wypowiedzieli tę prawdę, zanim przygotowano grunt i odpowiednio zmiękczone opozycję związków zawodowych.

Tłumaczenie z języka angielskiego: Paweł Stachura